

Rozdział 1

Reguly obowiązujące w Lidze Młodzieżowej New Haven stanowiły, że wszyscy zawodnicy muszą w każdym meczu zagrać co najmniej dziesięć minut. Odstępstwa od tej zasady zdarzały się tylko wówczas, gdy zawodnik wkurzył trenera nieprzychodzeniem na treningi lub innymi wykroczeniami porządkowymi. Wówczas trener mógł przed meczem sporządzić protokół i poinformować sędziego, że za karę taki a taki zagra krócej lub nie zagra wcale. Kierownictwo ligi patrzyło krzywo na takie decyzje, bo rozgrywki traktowano bardziej jako zabawę niż poważne zawody.

Cztery minuty przed końcem meczu trener Kyle powiódł wzrokiem po ławce rezerwowych i skinął na naburmuszonego chłopca nazwiskiem Marquis.

– Chcesz zagrać? – rzucił.

Marquis bez słowa wstał i w oczekiwaniu na gwizdek stanął przy stoliku sędziowskim. Miał na swym koncie wiele wykroczeń – opuszczanie treningów, wagarowanie ze szkoły, marne stopnie, utratę stroju zawodniczego, posługiwanie się wulgarnym językiem. Tak naprawdę podczas minionych dziesięciu tygodni i piętnastu meczów złamał wszystkie – niezbyt

liczne – zakazy obowiązujące zawodników. Trener Kyle już dawno zdał sobie sprawę, że gwiazda jego drużyny od razu złamie każdy nowo wprowadzony zakaz, zredukował więc je do niezbędnego minimum i skutecznie zwalczał w sobie pokusę wprowadzania nowych ograniczeń. Wiedział, że zakazy na nic się nie zdadzą, tyle że patrzenie przez palce na wybryki dziesięciu urwisów ze śródmieścia zaowocowało ostatnim miejscem drużyny Czerwonych Rycerzy w zimowych rozgrywkach ligi dwunastolatków i młodszych.

Marquis miał tylko jedenaście lat, ale był niewątpliwie najlepszym zawodnikiem na boisku, który zdecydowanie wolał rzucać i zdobywać punkty, niż podawać i bronić własnego kosza. W ciągu dwóch minut od wejścia dwa razy ograł dużo roślejszych od siebie przeciwników i zdobył sześć punktów. Średnio zdobywał ich czternaście na mecz, ale gdyby pozwolono mu grać dłużej niż pół spotkania, zapewne jego wynik sięgałby trzydziestu. W swym młodzieńczym zadufaniu uważał, że treningi nie są mu do niczego potrzebne.

Mimo wzmocnienia drużyna Rycerzy grała beznadziejnie i Kyle McAvoy już tylko czekał, aż zegar ogłosi koniec spotkania. Jeszcze tylko jeden mecz i sezon dobiegnie końca, a on rozstanie się z funkcją trenera dziecięcej koszykówki. W ciągu minionych dwóch lat wygrał kilkanaście i przegrał kilkadziesiąt meczów, cały czas zastanawiając się, jak ktoś myślący może z własnej woli pakować się w coś takiego. Tysiące razy powtarzał sobie, że robi to dla dobra dzieci – chłopców, bez ojców i z patologicznych rodzin, chłopców, którym brakowało właściwego męskiego wzorca. Nadal tak uważał, ale po dwóch latach starań i wyklócania się z nielicznymi rodzicami, którym chciało się przychodzić na mecze, a także użerania się z trenerami innych drużyn, dla których oszukiwanie nie było problemem, oraz przymykania oczu na decyzje nastoletnich sędziów

nieodróżniających ataku od bloku miał już dość. Uznał, że spełnił swój obywatelski obowiązek, przynajmniej tu.

Obserwował grę, od czasu do czasu coś pokrzykując – bo tego się oczekuje od trenera – i rozglądając się po sali gimnastycznej w starym ceglanym budynku w śródmieściu New Haven, który od pięćdziesięciu lat należał do ligi młodzieżowej. Na miejscach dla publiczności siedziały grupki rodziców czekających na końcową syrenę. Marquis zdobył kolejne punkty, ale nikt nawet nie zaklaskał. Drużyna Czerwonych Rycerzy przegrywała dwunastoma punktami, do końca meczu zostały dwie minuty.

Drzwi pod wiekową tablicą wyników otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w ciemnym garniturze; wszedł do środka i oparł się o rozbieralną konstrukcję trybuny. Zwracał uwagę jako biały – w obu drużynach nie było ani jednego białego zawodnika – ale także dlatego, że miał na sobie czarny lub granatowy garnitur, białą koszulę, wiśniowy krawat oraz szary trenicz. Ani chybi jakiś agent lub gliniarz.

Trener Kyle od razu go zauważył i pomyślał, że gość zupełnie tu nie pasuje. Mógł być tajniakiem lub agentem narkotykowym śledzącym dilerów. Nie byłby to pierwszy przypadek aresztowania kogoś spośród obecnych na sali gimnastycznej.

Tajniak – lub agent – stał oparty o rusztowanie trybuny, obrzucając czujnym spojrzeniem ławkę drużyny Czerwonych Rycerzy i wyraźnie wpatrując się w trenera Kyle'a. Ten w pierwszej chwili hardo zrewanżował się tym samym, szybko jednak poczuł niepokój. Marquis oddał z połowy boiska niecelny rzut w stronę tablicy, więc Kyle zerwał się na nogi i rozłożył ramiona w niemym geście: „Po co?”. Chłopak kompletnie go zignorował i natarł na obrońcę, a ten dureń sędzieja zatrzymał grę, przedłużając mękę. Niby obserwując wykonującego rzut osobisty, Kyle powędrował wzrokiem głębiej

i spojrzął na tajniaka – lub agenta – który stojąc pod koszem, uważnie się przypatrywał. Nie zawodnikowi, lecz trenerowi na ławce.

Dwudziestopięcioletniego studenta prawa, nienotowanego i nieposiadającego żadnych skłonności przestępczych, zainteresowanie ze strony kogoś reprezentującego organ porządku publicznego nie powinno w ogóle niepokoić. W przypadku Kyle’a McAvoya tak to jednak nie działało. Przedstawiciele miejskich i stanowych służb mundurowych nie robili na nim większego wrażenia. Wiadomo było, że są od pilnowania porządku i im za to płacą. Ale faceci w ciemnych garniturach – tajniacy od inwigilacji i węszenia w czyimś życiu – działali mu na nerwy.

Do końca zostało trzydzieści sekund i Marquis wdał się w sprzeczkę z sędzią. Dwa tygodnie wcześniej rzucił sędziemu kilka „fucków” i został za karę odsunięty od kolejnego meczu. Trener Kyle wrzasnął na swojego gwiazdora, który jak zwykle się tym nie przejął, po czym zerknął na koniec sali, by się upewnić, czy tajniak – lub agent – numer jeden wciąż jest sam, czy dołączył do niego tajniak – lub agent – numer dwa. Nie dołączył.

Marquis znów dał popalić i Kyle krzyknął do sędziego, żeby mu odpuścił, po czym usiadł na ławce, przejechał palcami po szyi i strząsnął z niej krople potu. Był początek lutego i na sali jak zwykle było dość chłodno.

Więc czemu się poci?

Tajniak – lub agent – nie tylko nie odwrócił wzroku, ale wręcz sprawiał wrażenie, jakby świdrowanie nim Kyle’a sprawiało mu przyjemność.

Rzężąca syrena w końcu zawyła i mecz nareszcie dobiegł końca. Zwycięzcy wydali okrzyk radości, pokonanym było to obojętne. Drużyny ustawiły się w rzędach, aby przybić sobie

obowiązkowe piątki i wzajemnie się zapewnić: „Dobry mecz, dobry mecz”, co dla dwunastolatków jest gestem równie pustym i bez znaczenia, jak dla licealistów. Kyle pogratulował zwycięstwa trenerowi drużyny przeciwnej i przeniósł wzrok na kosz. Białego tajniaka już pod nim nie było.

Może wyszedł i czeka przed budynkiem? Zakrawało to trochę na paranoję, ale paranoja towarzyszyła Kyle’owi od tak dawna, że jej kolejny przyływ przyjął bez szczególnych emocji. Stłamsił ją i przeszedł nad nią do porządku dziennego.

Drużyna Czerwonych Rycerzy przeszła do szatni gości, ciasnego pomieszczenia pod stałą trybuną po stronie gospodarzy. Trener Kyle palnął typową mowę na zasadzie: wiem, że się staraliście, dobre zwody, nasza gra jest chwilami coraz lepsza, w najbliższą sobotę stańmy na wysokości zadania i zakończmy sezon zwycięstwem. Chłopcy przebierali się, prawie go nie słuchając. Mieli dość koszykówki, bo mieli dość przegrywania, a winę za wszystko ponosił oczywiście trener. Był do tej funkcji za młody, za biały i zbytnio się kojarzył z Ligą Bluszczową.

Grupka rodziców zebrała się pod drzwiami szatni i to właśnie tych pełnych napięcia chwil opuszczania szatni Kyle najbardziej nie lubił w swej pracy dla dobra lokalnej społeczności. Jak zawsze rodzice będą mieli pretensje o za krótki czas gry ich dzieci, a odznaczający się płynną wymową wujek Marquisa, dwudziestodwuletni były reprezentant stanu, będzie jak zwykle się wyżywał za niesprawiedliwe traktowanie „najlepszego gracza w lidze”.

Z szatni można też było wyjść tylnymi drzwiami prowadzącymi do ciągnącego się pod trybuną wąskiego ciemnego korytarzyka, którym wychodziło się na boczną alejkę. Kyle nie byłby pierwszym trenerem salwującym się ucieczką tą drogą, a dziś zależało mu na uniknięciu spotkania nie tylko z roze-

żłonymi rodzicami, ale także z nieznanym tajniakiem – lub agentem. Rzucił chłopcom „no to cześć” i gdy ci ruszyli do wyjścia, skierował się ku tylnym drzwiom. Dotarcie do końca korytarzyka zajęło mu tylko kilka sekund. Wyszedł na boczną alejkę i szybkim krokiem ruszył po oblodzonym chodniku. Z jezdni zgarnięto zwały zamarznętego śniegu i chodnik był nimi zasypany i trudny do przejścia. Temperatura powietrza wynosiła grubo poniżej zera, była środa, dochodziła dwudziesta trzydzieści. Kyle ruszył w stronę biblioteki wydziału prawa Yale, gdzie zamierzał posiedzieć co najmniej do północy.

Los jednak zdecydował inaczej.

Agent stał oparty o błotnik zaparkowanego na ulicy czerwonego jeepa cherokee. Samochód był zarejestrowany na Johna McAvoya z Yorku w Pensylwanii, ale od sześciu lat wiernie służył synowi właściciela, jako jego jedynemu użytkownikowi.

Chociaż nogi nagle zaczęły mu ciężać jak kamienie, a kolana wypełniły się watą, Kyle’owi udało się nie potknąć i nie rzucić do ucieczki. Nie tylko mnie znaleźli, przemknęło mu przez myśl, ale odrobili zadanie domowe i namierzyli jeepa. Co w końcu nie było takie trudne. Nie zrobiłem nic złego, powtórzył w myślach.

– Trudny mecz, trenerze – powiedział agent, gdy Kyle znalazł się trzy metry od niego i zwolnił.

Kyle stanął i obrzucił wzrokiem zwalście zbudowanego młodego osiłka z rumianymi policzkami i rudymi loczkami, którego chwilę wcześniej obserwował w sali gimnastycznej.

– Mogę czymś służyć? – spytał, po czym natychmiast dostrzegł agenta numer dwa, który właśnie przemykał na drugą stronę ulicy. No jasne, zawsze pracują parami.

Agent numer jeden sięgnął do kieszeni, mruknął „Jak najbardziej” i otworzył skórzany portfelik.

– Bob Plant, FBI – przedstawił się.

– Bardzo mi miło. – Kyle poczuł, jak krew odpływa mu z mózgu, i nie udało mu się opanować wzdrygnięcia.

W kadrze pojawił się agent – lub gliniarz – numer dwa. Był od kolegi dużo szczuplejszy, co najmniej dziesięć lat starszy i miał pasma siwizny przy skroniach. Ten też miał w kieszeni portfelik i też go wyjął dobrze wyćwiczonym ruchem.

– Nelson Ginyard, FBI – oznajmił.

Bob i Nelson, dwaj Irlandczycy. Obaj z północnego wschodu.

– Ktoś jeszcze? – spytał Kyle.

– Nie. Możemy chwilę porozmawiać?

– Nie bardzo.

– Myślę, że powinniśmy – powiedział Ginyard. – Może się to okazać bardzo przydatne.

– Wątpię.

– Jeśli stąd odjedziesz, pojedziemy za tobą – wtrącił Plant, odrywając się od jeepa i robiąc krok do przodu. – A chyba nie chcesz widzieć nas w kampusie.

– Grozicie mi? – Kyle poczuł, że pod pachami znów ma mokro i mimo arktycznego zimna po żebrach spływają mu krople potu.

– Jeszcze nie – rzucił Plant ze złośliwym uśmiechem.

– Słuchaj, chodźmy gdzieś na kawę i chwilę porozmawiamy – zaproponował Ginyard. – Za rogiem jest bar kanapkowy. Na pewno będzie nam tam dużo cieplej.

– Potrzebny mi адвокат?

– Nie.

– Zawsze tak mówicie. Mój ojciec jest adwokatem, a ja dorastałem w jego kancelarii. Znam się na waszych sztuczkiach.

– Nie stosujemy żadnych sztuczek, Kyle, przysięgam – zapewnił Ginyard tonem, który brzmiał całkiem szczerze. – Poświęć nam dziesięć minut. Obiecuję, że tego nie pożałujesz.

- W czym rzecz?
- Dziesięć minut. O nic więcej nie prosimy.
- Albo mi powiecie, o co chodzi, albo moja odpowiedź brzmi „nie”.

Bob i Nelson spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Właściwie czemu nie? Przecież i tak prędzej czy później trzeba będzie mu powiedzieć. Ginyard odwrócił głowę, spojrzał w głąb ulicy i rzucił w przestrzeń:

– Uniwersytet Duquesne’a. Pięć lat temu. Kilku zalanych studentów i dziewczyna.

Ciało i umysł Kyle’a zareagowały każde na swój sposób. Ciało przyjęło cios, co się wyraziło lekkim przygarbieniem ramion, westchnieniem i ugięciem nóg. Umysł bez wahania podjął walkę.

– To brednie! – prychnął Kyle i splunął na chodnik. – Już to przerabiałem. Nic się nie wydarzyło i dobrze o tym wiecie.

Zapadło długie milczenie. Ginyard nie przestawał wpatrywać się w głąb pustej ulicy, Plant nie spuszczał wzroku z Kyle’a, w którego głowie trwała gonitwa myśli. Dlaczego FBI miesza się do rzekomego przestępstwa stanowego? Na zajęciach z procedur karnych na drugim roku zajmowali się nowymi przepisami dotyczącymi śledztw federalnych. W wyniku ich wprowadzenia okłamywanie agenta FBI było przestępstwem ściganym z mocy prawa. Czy w tej sytuacji nie powinien milczeć? A może należałoby zadzwonić do ojca? Nie, w żadnym razie nie będzie go mieszał do tej sprawy.

Ginyard odwrócił głowę, zrobił trzy kroki w stronę Kyle’a i jak zły aktor wysyczał przez zaciśnięte szczęki następną kwestię:

– Nie traćmy czasu, panie McAvoy, bo marznę. W Pittsburghu czeka akt oskarżenia o gwałt. Jeśli chce pan zgrywać przemądrzałego studenta prawa i grozić wezwaniem adwokata

lub telefonem do starego, jutro ten akt może się znaleźć w naszych rękach i pańskie plany życiowe poważnie się zesrają. Natomiast jeśli zechce pan poświęcić nam teraz dziesięć minut swego cennego czasu i pójdziemy do baru kanapkowego za rogiem, akt oskarżenia trafi na półkę i być może już zawsze na niej zostanie.

– Możesz się od tego uwolnić – dorzucił Plant z boku. – Raz na zawsze.

– Czemu miałbym wam zaufać? – wydusił Kyle, czując, że zaschło mu w ustach.

– Tylko dziesięć minut.

– Będziecie nagrywać?

– Oczywiście.

– Chcę widzieć wasz magnetofon na stoliku. Chcę, żeby każde słowo zostało nagrane, bo wam nie ufam.

– Nie ma sprawy.

Obaj wetknęli ręce do kieszeni identycznych trenczów i ruszyli przodem. Kyle otworzył kluczykiem drzwi jeeпа i wsiadł do środka. Uruchomił silnik, ustawił ogrzewanie na ful i zaczął dumać, czy nie powinien jednak odjechać w drugą stronę.

Rozdział 2

Buster's Deli było długą wąską kiszka z rzędem pokrytych czerwonym winylem boksów pod prawą ścianą. Pod lewą mieścił się bar z grillem, dalej ciągnął się rząd flipperów. Ściany zdobił zbiór pamiątek z Yale. Wiele miesięcy temu, jako student pierwszego roku, Kyle jadł tu kilka razy.

Ostatnie dwa boksy zostały przejęte we władanie przez władze federalne. Przy ostatnim stał kolejny agent w trenczu, gawędząc z siedzącymi w niej Plantem i Ginyardem. Widząc zbliżającego się Kyle'a, mężczyzna zaprezentował typowy ironiczny uśmiezek i usiadł w przedostatnim boksie, dołączając do sączącego kawę agenta numer cztery. Plant i Ginyard zamówili kanapki z bagietek oraz porcje frytek i pikle, ale żaden nawet ich nie ruszył, zostawiając stół zawalony nie-
tkniętym jedzeniem i kubkami z kawą. Na widok Kyle'a Plant wstał z miejsca i przesiadł się obok Ginyarda, tak by obaj, siedząc ramię w ramię w niezdytetych trenczach, mogli mieć na oku swą ofiarę. Kyle usiadł na kanapie po drugiej stronie stołu.

Oświetlenie baru było zapyziałe i niezbyt efektywne, przez co końcowy boks tonął w mroku. Krzyki grających na flipperach mieszały się z odgłosami płynącymi z płaskiego telewi-

zora nad barem, na którym szedł jakiś program rozrywkowy z udziałem publiczności.

– Musi was być aż czterech? – mruknął Kyle, wskazując głową boks za swoimi plecami.

– Tylko tylu zauważyłeś – odrzekł Ginyard.

– Masz ochotę coś zjeść? – spytał Plant.

– Nie. – Godzinę temu głód skręcał Kyle’owi kiszki, ale w tej chwili jego układ trawienny, system wydalania i system nerwowy zdawały się być stopione w jedną masę. Rozpaczliwie starał się spokojnie oddychać i nie okazywać zdenerwowania. Wyjął z kieszeni długopis i kartkę papieru i przywoławszy na pomoc całą odwagę, powiedział:

– Chciałbym jeszcze raz zobaczyć wasze odznaki.

Obaj agenci zareagowali niemal identycznie. Na ich twarzach odmalowało się zdumienie, potem uraza, potem miny z gatunku „a co mi tam”. Obaj powoli sięgnęli do kieszeni, wyjęli swe najcenniejsze skarby i położyli na stole. Kyle sięgnął najpierw po portfelik Ginyarda i odczytał pełne nazwisko agenta – Nelson Edward Ginyard – i jego numer służbowy. Uważnie zapisał je na kartce, mocno dociskając długopis. Czuł drżenie ręki, ale liczył, że dzięki temu tego nie zauważą. Nie wiadomo, po co potarł palcem mosiężną odznakę i przyjrzał się jej.

– Mogę zobaczyć jakąś legitymację ze zdjęciem? – powiedział.

– Co, u diabła? – warknął Ginyard.

– Poproszę o dowód ze zdjęciem.

– Nie.

– Nie powiem ani słowa, póki nie dokończymy formalności. Wystarczy mi prawo jazdy, ja też pokażę swoje.

– Mamy już fotokopię twojego prawka.

– Nie szkodzi. Chcę zobaczyć twoje.

Ginyard zrobił cierpiętniczą minę i sięgnął do tylnej kieszeni spodni. Wyciągnął podniszczony portfel i wyjął z niego prawo jazdy stanu Connecticut z posępną podobizną swej twarzy. Kyle uważnie je obejrzał i zanotował datę urodzenia oraz numer i datę wydania dokumentu.

– Jeszcze gorsza fotka niż w paszporcie – zauważył.

– Może chcesz też zdjęcie żony i dzieci? – burknął Ginyard, wyjmując kolorową fotografię i rzucając ją na stół.

– Nie, dziękuję. Skąd jesteście?

– Z Hartford – odparł Ginyard. – Tamci są z Pittsburgha – dodał, wskazując głową sąsiedni boks.

– Miło.

Kyle równie skrupulatnie obejrzał legitymację służbową i prawo jazdy Planta, po czym wyjął z kieszeni telefon komórkowy i zaczął stukać w klawiaturę.

– Co ty robisz? – obruszył się Ginyard.

– Wchodzę do sieci, żeby was sprawdzić.

– Wyobrażasz sobie, że znajdziesz nas na jakiejś kolorowej stronie FBI? – burknął ze złością Plant. Ale tak naprawdę obaj agenci sprawiali wrażenie rozbawionych i niezbyt przejętych.

– Wiem, gdzie was szukać. – Kyle wpisał mało znany adres federalnej bazy adresowej.

– Nas tam nie znajdziesz – uprzedził Ginyard.

– Chwilę to potrwa. A co z magnetofonem?

Plant wyjął małą nagrywarkę cyfrową wielkości elektrycznej szczoteczki do zębów i włączył ją.

– Podajcie datę, godzinę i miejsce nagrania – powiedział Kyle tak pewnym siebie tonem, że jego samego to zdziwiło. – Dodajcie też, że przesłuchanie jeszcze się nie zaczęło i nikt jak dotąd nie złożył żadnych oświadczeń.

– Tak jest, proszę pana. Jak ja kocham takich studentów prawa – mruknął Plant.

– Oglądasz za dużo telewizji – dodał Ginyard.

– Możemy zaczynać.

Plant umieścił nagrywarke pośrodku stołu między kanapkami z pastrami i cheddarem z jednej strony i wędzonym tuńczykiem z drugiej, po czym zwrócił się do Kyle'a i wygłosił wstępną formułkę. Kyle nie odrywał wzroku od wyświetlacza komórki i gdy pojawiła się na nim żądana strona, wpisał: „Nelson Edward Ginyard?”. Po paru sekundach oczekiwania na stronie ukazało się potwierdzenie, że agent Ginyard pracuje w oddziale FBI w Hartford, co nikogo z obecnych nie zaskoczyło.

– Chcesz zobaczyć? – spytał Kyle, odwracając ku niemu wyświetlacz.

– Gratulacje – burknął Ginyard. – Zadowolony?

– Nie. Bo wolałbym tu nie być.

– Możesz w każdej chwili wyjść – zapewnił go Plant.

– Prosilicie o dziesięć minut. – Kyle spojrział na zegarek.

Agenci pochylili się nad stołem i jednocześnie oparli na nim łokcie. Boks nagle zrobił się ciasny.

– Pamiętasz Benniego Wrighta, detektywa z wydziału przestępstw seksualnych policji w Pittsburghu? – spytał Ginyard. Agenci nie spuszczaali wzroku z Kyle'a, czekając na choćby najdrobniejsze drgnienie powiek.

– Nie.

– Nie spotkałeś się z nim pięć lat temu w trakcie śledztwa?

– Nie pamiętam nikogo, kto nazywałby się Bennie Wright. Mogłem się z nim zetknąć, jednak to imię i nazwisko nic mi nie mówią. Ale minęło pięć lat od czegoś, co się w ogóle nie wydarzyło.

Przez chwilę smakowali jego słowa, nie spuszczaając z niego wzroku. Kyle czuł, że obaj mieliby ochotę parsknąć: „Kłamiesz!”.

Ginyard jednak powiedział tylko:

– No cóż, śledczy Wright jest akurat w mieście i chciałby się z tobą spotkać za jakąś godzinę.

– Jeszcze jedno spotkanie?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu. To nie potrwa długo, a są duże szanse, że pozwoli ci to wypłatać się z kłopotów.

– Jakich kłopotów?

– Oskarżenia o gwałt.

– Nie było żadnego gwałtu. Policja w Pittsburghu doszła do tego już pięć lat temu.

– No cóż, wygląda na to, że dziewczyna znów się odezwała – powiedział Ginyard. – Pozbierała się, przeszła intensywną terapię i co najważniejsze, znalazła sobie adwokata.

Ponieważ na końcu tej wypowiedzi Ginyard nie postawił znaku zapytania, nie było na co odpowiadać i Kyle wbrew sobie tylko się przygarbił. Omiótł spojrzeniem kontuar i puste stolki barowe, po czym przeniósł wzrok na ekran telewizora na ścianie. Trwały jakieś szkolne zawody, trybuny były pełne rozwrzeszczanej młodzieży i zaczął się zastanawiać, dlaczego on musi siedzieć przy tym stole.

Nie przestawaj mówić, upomniał się w duchu, ale niczego im nie powiedz.

– Mogę o coś spytać? – rzucił.

– Jasne.

– Jeśli sporządzono akt oskarżenia, to jak go można odłożyć na półkę? Po co w ogóle rozmawiamy?

– Na polecenie sądu został wstrzymany – wyjaśnił Ginyard. – Ze słów śledczego Wrighta wynika, że prokurator ma dla ciebie propozycję ugody. Złożyła ją adwokat ofiary i jeśli ją przyjmiesz, będziesz mógł zapomnieć o całej sprawie. Pójdiesz na ugodę i akt oskarżenia przeciwko tobie nigdy nie ujrzy światła dziennego.

– Nadal nic z tego nie rozumiem. Może rzeczywiście powinienem zadzwonić do ojca.

– Twoja decyzja, ale jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to najpierw spotkasz się ze śledczym Wrightem.

– Nie odczytaliście mi moich praw Mirandy*.

– Bo to nie przesłuchanie – odparł po chwili milczenia Plant. – Nie ma też dochodzenia – dodał, sięgając do zestawu z wędzonym tuńczykiem i wyławiając z niego połyskującą tłuszczem frytkę.

– To co to, do diabła, jest?

– Rozmowa. – Ginyard odchrząknął, odchylił się do tyłu i ciągnął: – Rzecz dotyczy przestępstwa stanowego, Kyle, wszyscy to wiemy. Normalnie byśmy się do tego nie mieszały, ale ponieważ przebywałeś w Connecticut, a oskarżenie pochodzi z Pensylwanii, chłopcy z Pittsburgha poprosili nas o pomoc w zorganizowaniu spotkania. Zaraz potem się z tego wyłączymy.

– Nadal nic nie rozumiem.

– Daj spokój. Taki prawniczy bystrzak jak ty? Przecież nie możesz być aż tak tępy.

Zapadło długie milczenie, bo wszyscy trzej zaczęli obmyślać następny ruch. Plant znów sięgnął po frytkę, ani na moment nie spuszczał wzroku z Kyle'a. Ginyard upił łyk kawy, skrzywił się z niesmakiem i powrócił do świdrowania wzrokiem swej ofiary. Przy flipperach zrobiło się cicho, lokal opustoszał i zostali w nim tylko czterej agenci, barman i Kyle.

W końcu Kyle pochylił się nad stołem, wsparł na łokciach i zbliżywszy usta na parę centymetrów do nagrywarki, powiedział:

* Prawa Mirandy – prawo do zachowania milczenia, o którym przesłuchujący ma obowiązek uprzedzić przesłuchiwanego. Nazwa nawiązuje do procesu oskarżonego Mirandy z roku 1966.

– Nie było żadnego gwałtu ani żadnego przestępstwa. Nie zrobiłem nic złego.

– Świetnie. W takim razie powiedz to Wrightowi.

– A gdzie on jest?

– O dziesiątej będzie czekał w Holiday Inn przy Saw Mill Road, pokój dwieście dwadzieścia dwa.

– To niedobry pomysł. Potrzebuję adwokata.

– Może tak, może nie. – Ginyard też się pochylił, tak że ich głowy niemal się zetknęły. – Słuchaj, wiem, że nam nie ufasz, ale proszę, uwierz, kiedy ci mówimy, że powinieneś pogadać z Wrightem, nim porozmawiasz z kimkolwiek innym. Przecież możesz zadzwonić do adwokata czy do ojca nawet o północy. Albo jutro. Jeśli dasz się teraz ponieść emocjom, może się to skończyć dla ciebie katastrofą.

– Wychodzę. Koniec rozmowy. Wyłączcie nagrywanie.

Żaden nie wykonał ruchu w stronę nagrywarki. Kyle wpatrzył się w nią, pochylił głowę i głośno powiedział: „Mówi Kyle McAvoy. Jest godzina dwudziesta pięćdziesiąt. Nie mam nic do powiedzenia. Nie złożyłem żadnego oświadczenia i właśnie opuszczam lokal Buster’s Deli”. Przesunął się po siedzeniu i już miał wstać, gdy Plant nagle rzucił:

– On ma nagranie wideo.

Nawet końskie kopnięcie w podbrzusze nie zrobiłoby na Kyle’u większego wrażenia. Chwycił się kurczowo czerwonej winylowej okładziny siedzenia i zrobił taką minę, jakby za chwilę miał zemdleć. Wolno usiadł z powrotem, sięgnął po plastikowy kubek i wypił długi łyk wody. Ale wargi miał spieczone, język jak kołek i woda niewiele mu pomogła.

Nagranie wideo. Jeden z uczestniczących w imprezce zalanych członków bractwa podobno nagrał coś komórką. Podobno na nagraniu widać było nagą dziewczynę na kanapie i podziwiających ją czterech czy pięciu nagich lub rozbierają-

cych się członków bractwa Beta. Kyle ledwo pamiętał tę scenę, nagrania nigdy nie widział. Według rozpowszechnianej w bractwie wersji zostało skasowane. Gliniarze z Pittsburgha szukali go, ale nic nie znaleźli. Nagranie przypadło i zostało zapomniane, pogrzebane w owianej tajemnicą historii bractwa Beta.

Plant i Ginyard znów siedzieli łokieć w łokieć, nie spuszczać z Kyle'a dwóch par nieruchomych oczu.

– Jakie nagranie? – wydusił tonem tak nieprzekonującym, że sam sobie by nie uwierzył.

– To, które ukryliście przed policją – powiedział Plant, niemal nie poruszając wargami. – To, które świadczy o twojej obecności na miejscu przestępstwa. To, które raz na zawsze zniszczy ci życie i odeśle na dwadzieścia lat do pierdła.

A, to nagranie.

– Nie wiem, o czym mówicie – wycharczał Kyle i pociągnął kolejny łyk wody. Czuł ogarniające go nudności, które sunęły falami od żołądka aż po głowę i groziły, że zaraz wymiotuje.

– Och, sądzę, że dobrze wiesz – wtrącił Ginyard.

– Widzieliście je? – spytał Kyle.

Obaj skinęli głowami.

– No to wiecie, że nawet jej nie tknąłem.

– Może nie, może tak. Ale niewątpliwie tam byłeś – zauważył Ginyard. – A to czyni z ciebie współwinnego przestępstwa.

Starając się przewalczyć odruch wymiotny, Kyle zamknął oczy i zaczął masować sobie skronie. Dziewczyna była ostrą zawodniczką, spędzającą więcej czasu w akademiku chłopaków niż we własnym pokoju. Typową grupie, która kleiła się do każdego i traciła mnóstwo czasu i kasy tatusia na niekończące się imprezy. Członkowie bractwa Beta przekazywali ją sobie z rąk do rąk, więc gdy nagle podniosła larum o rzekomy gwałt, braci zamurowało, zamieniając ich w zjednoczony front

zaprzeczeń i niewinności. Gdy jeszcze się okazało, że dziewczyna płacze się w szczegółach, gliniarze odpuścili i nikomu nie postawili zarzutów. Wkrótce potem zrezygnowała z nauki w Duquesne i ku zadowoleniu wszystkich zniknęła. Największym cudem w tej sprawie było to, że wiadomość o brzydkim epizodzie z udziałem członków bractwa Beta nigdy się nie rozeszła i niczyje życie nie zostało zrujnowane.

– W akcie oskarżenia jesteś wymieniony ty i trzech innych studentów – powiedział Ginyard.

– Nie było żadnego gwałtu – powtórzył Kyle, nie przestając rozcierać sobie skroni. – Jeśli nawet doszło do seksu, mogę was zapewnić, że odbyło się to za jej zgodą.

– Nie może być mowy o zgodzie, skoro wcześniej straciła przytomność – przypomniał mu Ginyard.

– Nie przyszliśmy się sprzeczać, Kyle – wtrącił Plant. – Od tego są prawnicy. Jesteśmy tu po to, żeby pomóc w zawarciu ugody. Jeśli zdecydujesz się współpracować, cała sprawa się skończy, przynajmniej dla ciebie.

– Co to za ugoda?

– Śledczy Wright wszystko ci wyjaśni.

Kyle powoli odchylił się do tyłu i postukał głową w czerwoną okładzinę oparcia. Miał ochotę zacząć prosić, błagać, tłumaczyć, że to niesprawiedliwe, że właśnie kończy studia, zamierza przystąpić do egzaminu adwokackiego i rozpocząć karierę. Jego przyszłość niosła w sobie tyle obietnic, a przeszłość była bez skazy. Prawie.

Ale oni to wszystko wiedzą, prawda? Popatrzył na nagrywkę i postanowił nic im nie mówić.

– Dobrze już, dobrze. Pojadę do niego – powiedział.

Ginyard jeszcze bardziej pochylił głowę.

– Została ci godzina. Jeśli w tym czasie gdzieś zadzwonisz, będziemy o tym wiedzieć. Jeśli spróbujesz dać nogę, pojedzie-

my za tobą, jasne? Więc bez sztuczek, Kyle. Zapewniam cię, że podjąłeś słuszną decyzję, i tego się trzymaj. Twoje kłopoty szybko się skończą.

- Nie wierzę wam.
- Sam się przekonasz.

Kyle zostawił ich przy stole zastawionym zimnym jedzeniem i gorzką kawą. Wsiadł do jeepa i pojechał do domu, trzy przecznice od kampusu. Pogrzebał w łazienkowej szafce współlokatora, znalazł valium i wrócił do swojego pokoju. Zamknął drzwi na klucz, zgasił światło i rozciągnął się na podłodze.